

# Maski codzienności

IZABELA STRZEMECKA

Na początek fragment „Balkonów” Jacka Dehnela: *Każdy, kto spędza życie na tworzeniu jakiejś idealnej maski, gładkiej powierzchni bez jednego pęknięcia (...) jest trawiony przez sekretną chorobę, z którą przed nikim nie może się zdradzić. Zaczyna ojciec rodziny sobotnie popołudnia przesiadywać w kasynie, przegrywając znaczne sumy (...); arcybiskup w porze poobiedniej drzemki wisi w salonie „Dominana”, przywiązany do krzyża i biczowany czerwonym peczykiem; prymas niby to przypadkiem odsuwa krzesło mniej lotnej koleżanki, tak, że ona wali się na ziemię, po drodze zawadza głową o rant ławki i zakrwawia parkiet; który jest własnością państwową.*

Gdyby tak zdjąć maski, lub zmienić je na nowe? Wybrać najpiękniejsze, a brzydkie spalić na stosie i zapomnieć o nich? Niestety nie mam takiej możliwości. Mogę jedynie przyglądać się swoim pozom i grać w życiowym przedstawieniu. Mogę z czasem analizować popełnione błędy, by znowu je powtarzać. Śmiać się ze swoich dokonań i w nowe maski przyozdabiać.

Od najmłodszych lat rodzice strofowali mnie i krytykowali. Ich ciągłe przypomnianie mi, że źle wyglądam, że niegrzecznie się zachowuję, że coś jeszcze na „nie”, powodowało we mnie frustrację. Mimo to poddawałam się tym uwagom. Czasami zastanawiam się, dlaczego? Po co ich tak słuchałam, przecież nie z miłości. Każdy ma prawo do wolności i bycia sobą. Ja nie miałam takiego prawa. Być może fakt, że rodzice mieli swoje rodzeństwo, a ja byłam jedynaczką sprawił, że tak bardzo na mnie naciskali. Mimo to nie umiem ich usprawiedliwić. Nawet nie umiem ich zrozumieć. Pamiętam jak przychodziły do mnie dzieci z sąsiedztwa. Wśród nich byłam traktowana jak dziwolak. Tylko ja nie miałam babci, która by się mną opiekowała, a to wiązało się z codziennym prawie chodzeniem do przedszkola. Od drugiego roku życia mówiono mi, że to moja „praca”. Że muszę się zachowywać jak dorośli. Być grzeczna, miła, uprzejma. Jak to się kończyło? Najczęściej tak, że inne dzieci bawiły się najlepszymi zabawkami, dostawały pierwsze kompoty, ciągle siedziały pani na kolanach, a ja byłam na końcu, bo uprzejmie wszystkich przepuszczałam.

Rodzice nigdy nie pozwalali mi wykażać gniewu, złości. Nie sądzę, żeby było to dobre. Od dziecka, mając nie-naganne maniery, nie potrafiłam się bawić z rówieśnikami. Ciągłe uważałam, żeby nie pobrudzić sukienki, sztucznie się uśmiechałam, nie odpowiadałam na zaczepki. Ominęło mnie przez to wiele fajnych sytuacji. Myślę, że wielu z nas było w podobnej sytuacji. Od czego to zależy? Sama nie wiem. Przybrałam formę, jaką chcieli rodzice. Świetnie stopnie, wysoka kultura osobista. A w środku pustka. Kiedy poszłam do pierwszej klasy szkoły podstawowej to do dziś pamiętam, jak każdego dnia pilnie się uczyłam. A jak

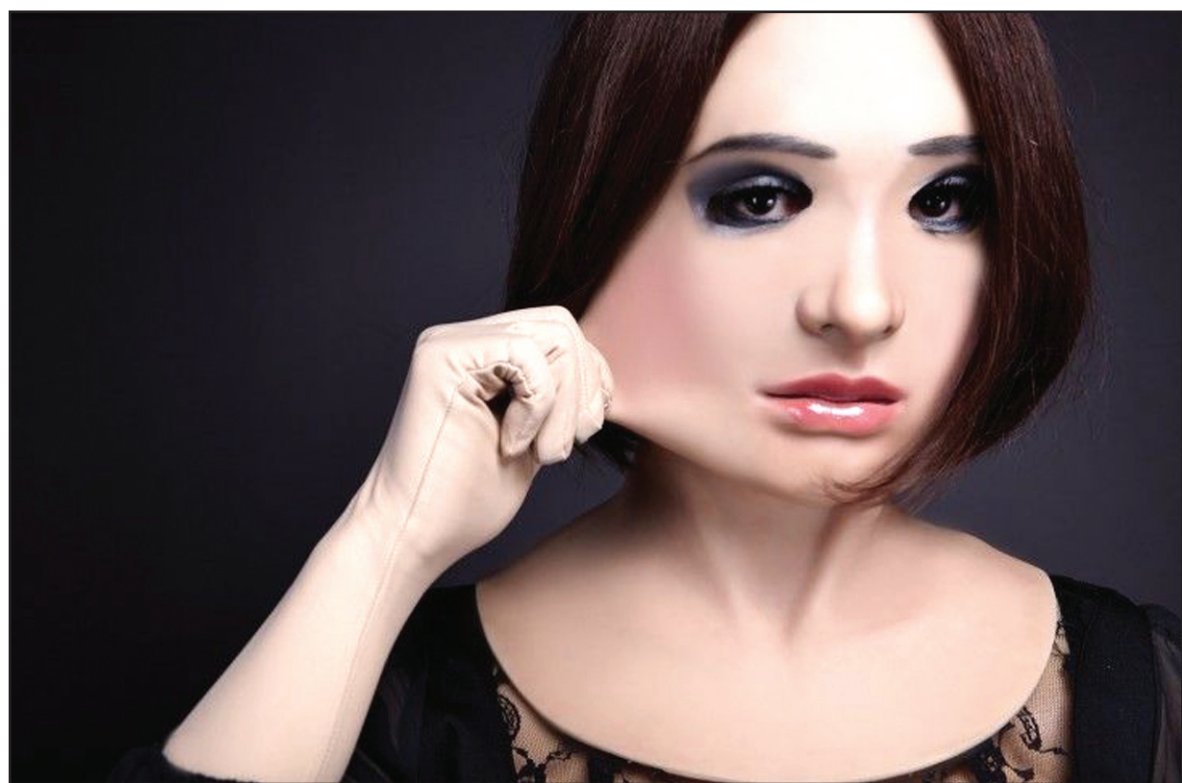
nie miałam na to siły lub ochoty, to udawałam. Siedziałam idealnie wyprostowana przy biurku i patrzyłam w zeszyty. Rodzice szybko przestali mi w szkole pomagać. Nigdy jednak nie wolno mi było pokazać, że czegoś nie umiem, nie wiem, lub nie potrafię. Nie umiałam porozumieć się z koleżankami, o kolegach nie wspominałam. Udawanie, udawanie, udawanie. Żadnego pozytywnego skutku z tego nie było. Bo czym są dobre stopnie, skoro wspomnienia z dzieciństwa kończą się jedynie na wspomnianiu, kiedy się i czego nauczyłam?

Rodzice. Kochani, troskliwi, czuli... Tyrani! Egoiści i sadyści! Założyli mi na siłę maskę, maskę osoby, którą ani nie jestem, ani nie chce być. Jak się z czasem okazało, nie jestem jedyną taką osobą. Poznałam wielu ludzi o „pięknych gębach”. Ale żaden z nich nigdy nie stał się sobą. Czasem się zastanawiam robiąc cokolwiek, czy to ja, czy kolejna postać odgrywa rolę za pomocą mojego ciała.

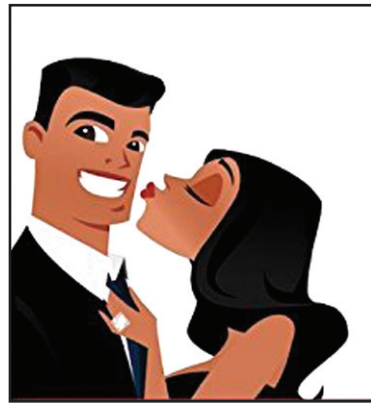
Ostatnio wiele się mówi o wychowaniu bezstresowym. Mimo wszystko nie jestem jego zwolenniczką. Taka forma wychowania często prowadzi do tego, że młodzież pozbawiona jest jakichkolwiek zasad. Nie respektuje żadnych norm społecznych czy moralnych. Szarańcza, pożerająca wszystko, co spotka na swej drodze. I tylko jednego im zazdroszczę – są szczęśliwi, bo są sobą, nie udają, nie patrzą na innych, tylko na siebie. A ja? Szara gąska zagubiona w wirującym świecie. Jak dziewczynka z zapalnikami, której nikt nie zauważa. Tej maski nie-nawidzę! Chcę ją zdjąć i spalić na stosie.

Z biegiem lat stałam się kobietą. Oczywiście, normy moralne przede wszystkim. Żadnych randek przed pełnoletnością, żadnych czułych gestów z mężczyzną publicznie. A mężczyzna? Właściwie chłopak – powinien być... właśnie. Wcale nie przystojny, czarujący, kochany czy romantyczny! On powinien być z dobrego domu, po dobrych studiach i z dobrą pracą. Nie ma się co nawet zastanawiać, czy bym takiego znalazła. Po pierwsze dlatego, że tacy faceci albo są już zajęci, albo wybierają kobiety z równie wysokiej półki. Skoro więc stoję niżej, to tu, obok siebie, powinnam szukać towarzysza. Ale nie wedle moich rodziców.

Hunra! Osiemnaste urodziny; przez moment człowiek myśli, że wyrwie się z rąk tyrani, stanie naprzeciw całemu światu, rozpędzi się do prędkości światła i... stop, szlaban, kontrola radarowa. Już następnego dnia dowiaduje się, że dowód nic nie zmienia. Depresja, nerwica, zgon. Człowiek ma ochotę z mostu skoczyć, ale ciągnie dalej ten wózek. Znajduje mężczyznę. Cóż... przeciętniak. Szczupły, wąty, szary. Opinia rodziców: kategorycznie nie! Bo nie taka rodzina, bo brat robił, bo to, bo tamto. Na szczęście serce nie służy i rozum zaćmiewa. Pojawia się poczucie szczęścia. Krótkie,



szybkie i byle jakie, ale to już zawsze coś. Myślę że mogę coś zmienić. Staram się jak mogę. I znowu pojawia się maska. Jestem grzeczna i miła, tak jak wychowali mnie rodzice, ale jednocześnie chcę być super seksowną kotką, najlepszym kumpem, wyrozumiałą przyjaciółką – dla niego. I co? I maska. Pytanie tylko, jaka. Szybka analiza jego potrzeb i dopasowujemy strój, zachowanie, słowa gesty i wszystko, na co będzie zwracał uwagę, wszystko pod jego gust. Ubieram szpilki, mini, rozpuszczam włosy. Marzę udając, że wcale mi nie jest zimno. Oglądam mecze. Zaczynam wiedzieć o sporcie więcej, niż jego koledzy. Znam zasady jego ulubionych dyscyplin sportowych, jego zwyczaje, najczęściej pijane piwo. Prawie zakładam mu kaptur na nogi. Byle tylko zapewnić mu szczęście. Co z tego wynika? Jestem jeszcze bardziej zagubiona. Kupuję kolorowe gazety, a tam czytuję: „bądź jego kumpelką”, „bądź sexy odkurzając pokój”, „słuchaj jego słów”. Modyfikuję maskę i ze zdwojoną siłą biegę na kolejne spotkanie.



Żartuję, uśmiecham się. Robię wszystko te brednie, które wyczytałam. Oczywiście muszę pamiętać też złote rady od koleżanek, jak: „udawaj głupiotką”, „wyglądaj, jakbyś wiedziała, o czym on mówi”, albo (najlepsza): „zachwycaj się jego obecnością”. No to wzdycham jak szalona, wymyślam, że zepsuł mi się komputer i szlochając proszę go o pomoc. A tu klops. Okazuje się, że on się na tym nie zna, przez co komputer dostał następnego dnia cudownego ozdrowienia.

Po pewnym czasie dochodzę do wniosku, że tak się dłużej nie da. Szczera rozmowa i już wszystko jasne. On nie lubi zbyt wysokich szpilek, bo w kolejkę nie po wzrost stał, ale za inteligencją, a ponieważ koleżki mu się pomylily, dostał w promocji jedynie pozytywne nastawienie do świata. Piwo może odstawić, sport nie jest taki ważny, więc oczekuję od ukochanego więcej zaangażowania. I co? Umawiamy

się na organizowaną przez niego randkę. Podekscytowana czekam w deszczu i dowiaduję się minutę przed umówionym czasem, że on będzie za pół godziny. Dobrze. Stoję. Czekam. Idziemy do kina. Wybieramy miejsca i... okazuje się, że on ma tylko kartę bankomatową, a w okienku kasowym płaci się tylko gotówką. Wieczór, kino pełne, a tu taki wstyd. A mówiłam już, że przyszedł bez kwiatka? Powiedział, że nie zdążył kupić. Nie rozumiem. Skoro był spóźniony pół godziny, to dodatkowe dwie minuty na bankomat i kwiatami już by mi różnicy nie zrobiły, a jaki byłby efekt. Niestety, książkę z bajki nie zakłada srebrnej zbroi, gdyż oddał ją na złom celem zakupu piwa. W tym momencie jestem już totalnie poirytowana. Po skończonej randce, na której oczywiście staram się jak tylko mogę nie pokazywać złości, wracam do domu i ryczę w poduszkę, wylewam taką ilość łez, że gdyby je puścić Wisłą do Bałtyku, to by nam Polskę do Warszawy zalało. Efekt noszenia maski? Kolejna frustracja.

Więc wiem już, że maska obyczajowa, stosowana w celu zdobycia cudownego partnera i zapewnienia sobie szczęścia na całe życie, to kiepski pomysł. Oczywiście, maski noszą również mężczyźni. To nie jest domena kobiet. Jednak po swoich doświadczeniach wiem, że tak czy inaczej wszechogarniające mnie stereotypy, nadmiar rozbieżnych poglądów i sztucznie kreowane wizerunki szczęśliwych kobiet, to nie jest rzecz warta naśladowania. Myślę, że żadnemu związkowi nie powinno się nic narzucać. Partnerzy albo się dotrą i dopasują do siebie, albo się rozejdą. Nie ma sensu nosić masek. Gra w teatr jest dobra co najwyżej na poziomie romansu. Nie nadaje się jednak do związku. Kiedy jedno z partnerów udaje cokolwiek, z czasem prawda wyjdzie na jaw. Najczęściej w postaci pretensji. Czasem jest jednak za późno, żeby się rozstać. Wtedy zostajemy uwięzieni w związkach na długie lata. Jesteśmy nieszczęśliwi, samotni. Mimo to nadal na zewnątrz udajemy, że wszystko jest w porządku. Zakładamy maskę super żony, matki. Okłamujemy również partnera, wydaje mi się, że wszystko jest w porządku, że jesteśmy szczęśliwi. Czy taka udawanka warta jest zachodu? Nie, z całą pewnością nie! Owszem, pewnie warto czytać, porównywać schematy, kracje. Warto zastanowić się nad radami znajomych i przyjaciół. Ale tak naprawdę należy słuchać siebie. Zwłaszcza

o kwestii miłości, żeby nie pozabawić się szansy na znalezienie prawdziwego szczęścia. Na tę maskę pozwolić nie mogę. Muszę się jej wystrzeżać.

Dzwoni. Znowu dzwoni. Budzikom śmieć! Mimo to wstaję. Piąta rano. Za oknem ciemno i szaro, a ja wstaję. Większość sąsiadów jeszcze śpi. A ja wstaję. W nosie mam takie życie. Poranna toaleta, kawa, makijaż, strój, buty, przystanek. Załoczony autobus pełny odoru alkoholu. Dobrze, że tak rano korków nie ma, chociaż o tyle skraca się podróż do pracy. Szybki papieros i wchodzę. Uśmiech od ucha do ucha, zarcik do szefowej, ubranko robocze i pędzę pełną radości do swoich obowiązków. Przynajmniej tak to wygląda na zewnątrz. W środku ledwo się dopiero budzę, mam ochotę powiedzieć szefowej jak idiotycznie wygląda w za małym kostiumie, i wyrzucić klientów ze sklepu. Ale tego nie robię. Udaję. Kolejna z wielu moich codziennych masek. I chyba pierwsza, której zakładanie przynosi jakiejś korzyści. Jakiejś. Nie myślcie, że zbyt duże. Po prostu studencka pensja i już. Na czesne wystarczy, czasem na małą przyjemność. Ale nie o to chodzi. Każdy chciałby mieć pracę, która sprawiałaby mu przyjemność. Jak dotąd może pół procent z moich znajomych taką znalazło. Albo też udają, że bym im zazdrościła. Maska w pracy jest obowiązkowa. Uśmiech numer pięć, czyli standardowe pokazywanie zębów klientom, to podstawa napiwku. Coś za coś. Nie będę się nad tym tematem rozwodzić. Tę maskę akceptuję jako konieczną. Nie jest może specjalnie przyjemna, ale nie przynosi negatywnych konsekwencji dla mojej psychiki. No, może poza faktem, że wychodząc z pracy czuję się tak, jakbym do końca życia miała mieć ten głupi uśmiech na twarzy.

W piątkowe popołudnie zawsze udaję się do przyjaciółki. Kupuję coś słodkiego i jadę przez pół miasta, żeby zwyczajnie pogadać. Oczywiście, standardowo od wejścia rzuca mi się na oczy jej tragiczna kondycja. Nie chodzi mi o nadmiar tłuszczu, ale o podkrążone oczy, nieszczery uśmiech i ogólnie totalne zmęczenie. Mimo to witam ją wesołym spojrzeniem. Siadamy i gadamy. Właściwie to nie wiem, po co. Większość czasu rozmawiamy o sprawach, które albo mnie nie obchodzą, albo dotyczą spraw tak błahych, że aż się mówić nie chce. Słucham o jej problemach małżeńskich, opowiadam co słycać na studiach.